



ZBIGNIEW ADAMSKI
KOŁO ŁOWIECKIE
DARZ BÓR
W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ

DARIUSZ ADAMSKI
ZBIGNIEW ADAMSKI
KOŁO ŁOWIECKIE
JARZĄBEK
znad ZALEWU MIETKOWSKIEGO

Edmund Adamski Zbigniew Adamski

Koło Łowieckie KNIEJA

EDMUND ADAMSKI
ZBIGNIEW ADAMSKI



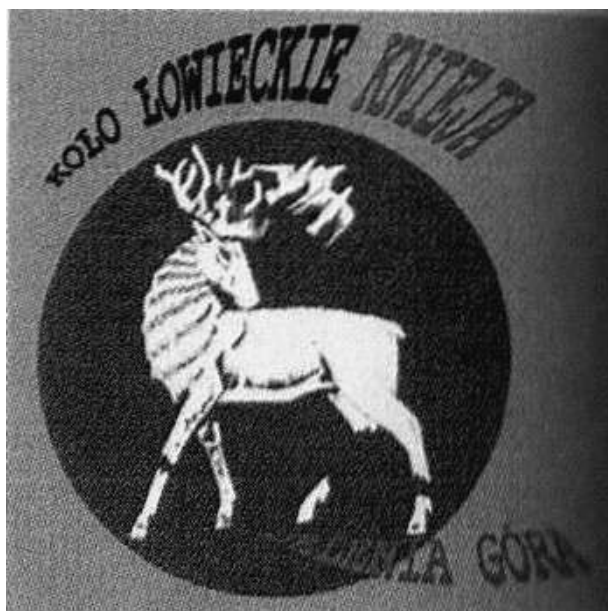
KOŁO ŁOWIECKIE
KNIEJA
W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ

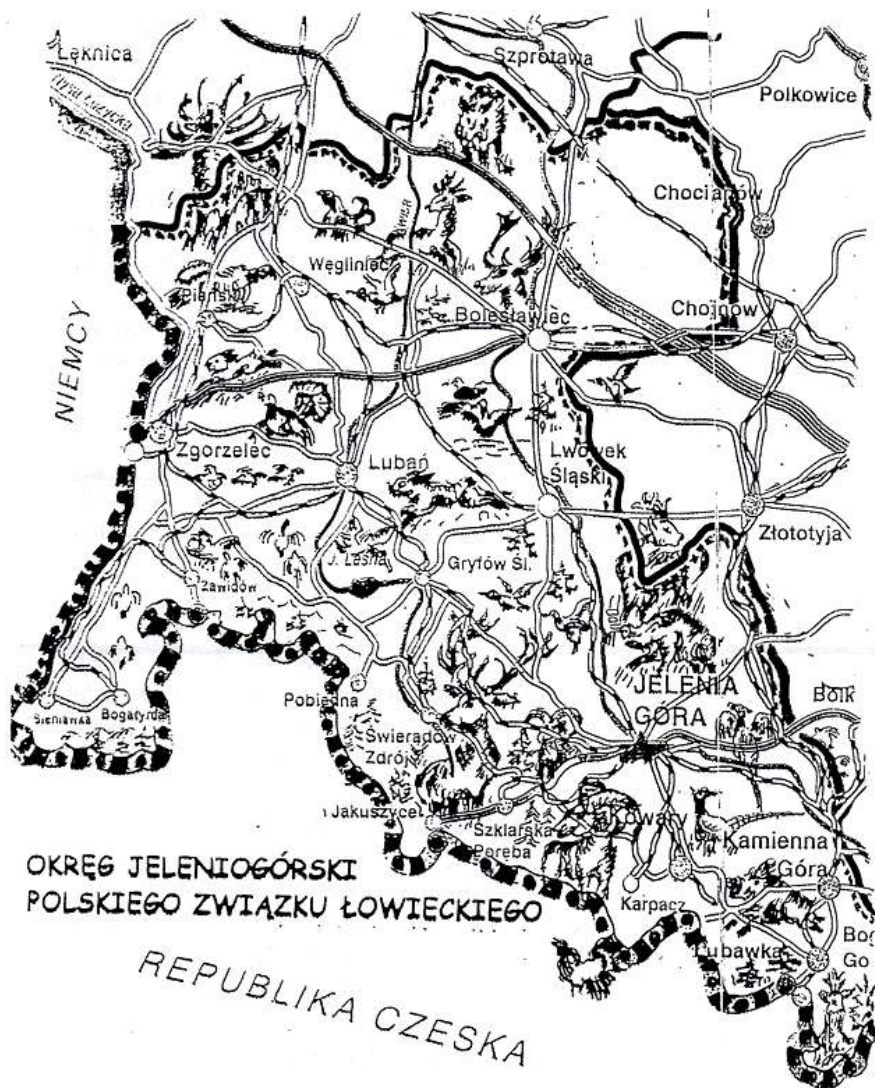
Edmund Adamski
Zbigniew Adamski

KOŁO ŁOWIECKIE

„KNIEJA”

W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ







Dziki na przełęczy pod Sokolikiem.

NA OKŁADCE

*Chmara jeleni na żerowisku w obwodzie 265 pod Krogulcem.

** Głuszcak tokował na drzewach, które rosły na zalesionym zboczu powyżej 1200 m n.p.m., obok skał zwanych Starymi Granatami, przy Drodze Przyjaźni biegnącej do granicy państwa.

Fot. Zbigniew Adamski

Edmund Adamski
Zbigniew Adamski



KOŁO ŁOWIECKIE
„KNIEJA”
W KOTLINIE JELENIOGÓRSKIEJ

**Polski Związek Łowiecki
Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze**

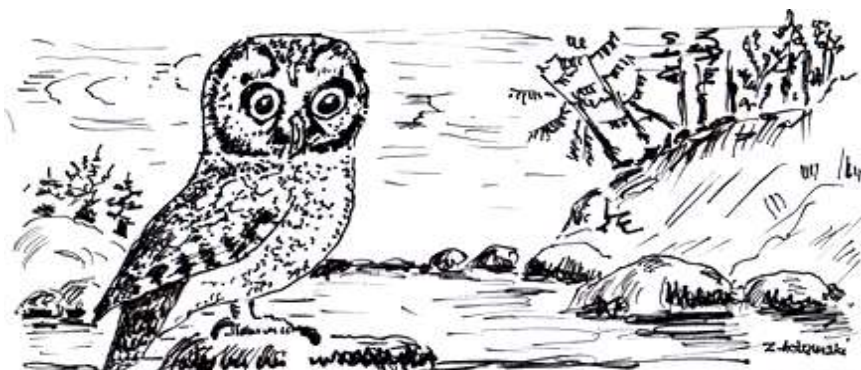
Opiniodawca:
Marcin Dubicki
Grzegorz Porębski

Fotografie
Edmund Adamski
Rysunki i teksty
Zbigniew Adamski

**Korekta, opracowanie graficzne
okładki i zdjęć**
Zofia Wąsik

Wydanie pierwsze
2010r.

Druk i oprawa: TOTEM Inowrocław www.totem.com.pl



	Ogród Ducha Gór „Rzepióra”	9
	Taniec słońek	11
	Milosne gody na przełęczy	16
	Polsko – czeski głuszec	21
Spis	Rykowisko pod gwiazdami	25
Rzeczy	W Kotle Łomniczki	29
	Królewski miot	33
	Koło Łowieckie „Knieja”	39
	Członkowie Koła	43
	FOTO – KRONIKA koła „Knieja”	45
	Mały słownik języka łowieckiego	65





Jeleń jest najpospolitszym ssakiem w Karkonoszach. Najchętniej przebywa w strefie lasu, ale pojawia się też ponad jego górną granicą. W górach żyje wyjątkowo wysoka liczba jeleni.



W OGRÓDZIE DUCHA GÓR „RZEPIÓRA”

STARA karkonoska legenda opowiada o sporze diabła z Duchem Gór - Rzepiórem o władzę nad tą krainą. Zwycięzcą miał zostać ten, kto stworzy najpiękniejszy ogród w Sudetach. Udało się to Rzepiórowi, któremu dzisiaj zawdzięczamy zielen gęstym kobiercem pokrywającą górskie stoki, pola i lasy, gdzie wśród pachnących ziół przychodzą na świat sarny, jelenie, muflony i dziki, a z ptaków – guszce, cietrzewie, sokoły i słonki. Wiosna wybucha tu nagle. Wczesnym rankiem, po ciemnej jeszcze nocy, rozbrzmiewa guszcowa pieśń w Sowiej Dolinie. Na Czarnym Grzbiecie, w wymarłym lesie rozlega się belkotanie cietrzewi. Swą skrytą pieśnią głoszą one nową radość życia. Później już nie poruszy gałązki najmniejszy powiew wiatru. Upał leje się z bezchmurnego nieba. Teraz przychodzą na świat młode zwierzęta i ptaki. Rześki chłód splywa z zaśnieżonych

jeszcze Kotłów i koi grubego odyńca, który niedawno ukradkiem wrócił zmęczony z nocnej, złodziejskiej wyprawy.

A już liście buków się zaczerwieniły, pokryły patyną śniedzi, złota i żółci. Srebrzy się babie lato na przełęczach, a po kniei odzywa się królewski zwierz.

Nagle biały puch stroi łąki i lasy, przybiera góry jakby do ślubu. Dzik ostrożnie stawia kroki, by nie zdradzić swej kryjówki. I tylko szaraczek nie robi sobie nic z ponowy i kurzy się za nim śnieg tumanami.

O każdej porze roku, Duch Gór zaprasza do tego Cudownego Ogródu „Rzepióra” z kamerą i strzelbą!

Autor



TANIEC SŁONEK

DRUGA dekada maja miała się ku końcowi. Noce były ciemne, ale jak na tę porę roku w górach dość ciepłe. Z leśniczym Michałkiewiczem spotkaliśmy się na parkingu hotelu „Skalny” na Wilczej Porębie.

– Domyślam się, że macie odstrzały na dzika, oczywiście mam na myśli odyńca, bo to przecież dopiero wiosna – powiedział leśniczy. – Przypominam o tym, dlatego aby było wszystko jasne już od samego początku.

Obaj z Mundkiem potwierdziliśmy słowa leśniczego kiwnięciem głowy.

– Zobaczymy co też nam ten górski bór dzisiaj zechce ofiarować – kontynuował pan, Michałkiewicz. – W ubiegłym tygodniu, kiedy kontrolowałem zrąb, odkryłem na granicy kosodrzewiny dwa świeże dzicze przesmyki. Było to równie interesujące, co zagadkowe, bo tam nigdy tyle czarnego zwierza dotąd nie bywało. Podejście jednak jest mozolne i trudne. Biegnie środkiem leśnego potoku, zupełnie stromo pod górę. Stąd domyślam się, że nikt tam jeszcze na dziki nie polował i żyją sobie jak u Pana Boga za przysiółkowym piecem.

Ta druga informacja była dla mnie wielce obiecująca. Niepłoszona zwierzyna chodzi na pewno tam jak w chronionym rezerwacie. Wcześniej intensywne polowania w sudeckich dolinach skutecznie je przegnały, a tu miała zupełny spokój. Więc mamy ogromną szansę na spotkanie z dzikami! Cieszyłem się w duchu. Jednak opis podejścia w górę – po kamieniach, strumieniem i to jeszcze w nocy, w głowie nijak mi się nie mieścił. Chyba leśniczy trochę przesadził?

– Siadajcie! Jedziemy, bo nocy ubywa!

Fiat 125p wprawdzie stękał, ale dziarsko piął się pod górę, na początku jeszcze na drugim biegu, ale już wyżej tylko liczyła się jedynka.

Jechaliśmy gospodarczą drogą, wzdłuż warstwicy, stale pod górę. Dawno zgubiliśmy ostatnie światła Karpacza i wjechaliśmy w rzadko odwiedzaną Sowią Dolinę, między Czarną Kopą a Kowarskim Grzbieciem. Droga wiodła w tunelu zieleni niebotycznych świerków, a światła reflektorów często odsłaniały granitowe skały. Temperatura w chłodnicy samochodu szybko zbliżyła się do krytycznej czerwonej linii. Kiedy wydawało się, że płyn się zagotuje, niespodziewanie przed nami, wyrósł drewniany szałas?

– Droga się skończyła wyjaśnił leśniczy. Tu pozostawimy autko. Jesteśmy na wysokości prawie 900 metrów. Jeszcze pozostało nam tylko 200, ale to już raczej drabina a nie droga. Jej najtrudniejszy odcinek pozostał nam na końcu!

Weszliśmy do leśnego szałasu drwali. W piecyku jeszcze żarzyły się niedopalone kłocce. Było ciepło i przyjemnie. Przygotowaliśmy się do wyjścia pod Czarną Kopę, na dzicze przesmyki. Naraz ze zgrzytem otworzyły się drzwi i silny snop światła zupełnie nas oślepił.

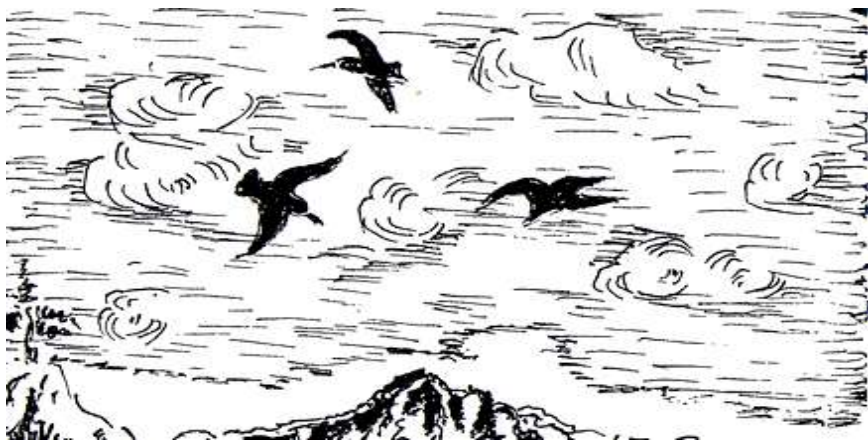
Straż ochrony granicy, proszę o dokumenty!

– Ten stanowczy, niespodziewany głos ugiął mi kolana. Guzik będzie z dzików – pomyślałem, a tak dobrze się zapowiadało! Następnym snop światła.

– Ach to pan, panie leśniczy, nawet żeśmy nie zauważyli – powiedział jeden z pograniczników – Chyba pozostaniecie na grani do świtu? Macie zielone światło!

Oślepieni przez wopistów weszliśmy w kamienisty górski potok, o mokrych i śliskich głazach. Starłem się nie stracić równowagi, by nie runąć w dół. Owalne skałki zagradzały koryto, ale dzięki nim mogłem też rękoma o nie się opierać i powoli posuwać do przodu. Ponoć można było iść szerszym potokiem Płonnicy czy

Niedźwiady, biegnącej, obok, ale według słów leśniczego tam było jeszcze gorzej.



Byłem mokry – mniej od wody, więcej od własnego, gorącego potu. Ta droga pozbawiała mnie tchu, stąd częste przystanki i odpoczynek. Zupełnie się ze sobą nie komunikowaliśmy, w gardle miałem tylko gorzką pianę.

Leśniczy chyba zauważył, że już mam dość, bo kiedy go mijiałem również zmęczony po cichu wyszeptał:

– Zostaniesz najniżej, przy pierwszym przesmyku. Uważaj bacznie na ścieżkę!

Usiadłem na trójnogu, zamknąłem mocno oczy. Przez parę minut dochodziłem do siebie, chłodzony rześkim, górskim powietrzem. Kiedy je otworzyłem, prawie oniemiałem z wrażenia? Nade mną wisały miliony gwiazd tak, blisko, że można było po nie sięgnąć ręką!

Byłem na dachu Karkonoszy i wkoło miałem góry. Tu świt wstawał o wiele wcześniej. Oczy zdążyły się już przyzwyczać do ciemności, gdy odkryłem kilka gejzerów, które z rozpadlin skalnych dymiły parą, unosząc ją z zawrotną szybkością ku gwiazdom.

Co za niesamowity widok miałem wokoło? Jakieś nieczytelne piski i chrapania dochodziły stale do moich uszu. W warkoczach jeszcze szarej pary jakieś dwa niepokazne ptaszki, unosząc się do góry, usiłowały ze sobą walczyć. A może to był ich godowy taniec? Stale ciągnięte przez wiry wydawały dźwięk podobny do uderzania się dzióbkami. Na chwilę znikwały, spadały na ścieżkę by ponownie wzbić się do lotu.

Ależ to przecież nasze słonki! Jak mogłem je nie rozpoznać? Taniec godowy trwał jeszcze parę minut, do chwili, kiedy pierwsze promienie słońca uniosły się nad Kowarskim Grzbietem.

Byłem oszołomiony tym wydarzeniem! Nagle zginęły dyjące gejzery, a wraz z nimi i słonki. Podczas oglądania tego ciekawego spektaklu przegapiłem dużego odyńca, który przez chwilę przyglądał mi się ze ścieżki. Kiedy błyskawicznie sięgnąłem po manlichera, dzik miał wystarczająco dużo czasu, aby wpaść w kosodrzewinę?

Zostaw chłopie ten zachwyty dla słońek i wschodu słońca! Nie po to tyle się natrudziłeś, żeby teraz dać taką plamę! Tędy na pewno będą wracać następne dziki! Z przyległych gąszczy stale dochodziły głośne fukania i piski. Teraz byłem już czujny i dobrze przygotowany na spotkanie z nimi.

Widoczność była znakomita. Przy dziczej ścieżce leżały olbrzymie płaty śniegu, które zupełnie rozjaśniały grań.

W gęstym jak szczytka zagajniku kotłowało się jak w przysłowiowej chlewni. Nawet odbezpieczyłem broń, pewien wyjścia wielkiego odyńca. To jednak dość długo się przeciągało. Potem nastąpiła cisza, a hałas przeniósł się kawałek dalej. Znowu powtarzały się piski i fukania zdenerwowanej lochy.

Z zachowania watahy wynikało, że musiała mnie odkryć i próbowała wyjść trochę dalej. Przez lornetkę w gałęziach zauważyłem wielkiego dzika, a kiedy skierowałem tam lunetę sztucera, na śnieg wyjechał niewielki warchlaczek. Powiększony w dziesięciokrotnej lornetce był całkiem, całkiem. Paski na sierści zdradzały

jednak jego niemowlęcość. Dumnie kroczył do ścieżki, nie zważając na ostrzeżenia matki. Postanowiłem się nie ruszać, aby go nie wystraszyć, a dziczek pełen ufności w swoje siły szybko znalazł się naprzeciw mnie. Zamieniony sztucer na teleobiektyw i seria trząsków migawki jednak go zatrzymała. Był podobnie jak i ja zdziwiony tym nagłym spotkaniem. Mogłem do woli go fotografować, ale wokół na białym śniegu nie było elementu porównania, co do jego wielkości, stąd postanowiłem ułożyć obok trasy teleobiektyw i tak powstała fotografia dzika na śniegu z kamerą.

To już był koniec dzisiejszego polowania na dziki!

Potem leśniczy opowiadał, że cała wataha wyszła ścieżką przez nas nieobstawioną. Ja miałem czyste sumienie – dzika spotkałem i miałem na to dowód na kliszy, a przed oczami jeszcze taniec słońek! Czy to mało?

Kiedy opuszczaliśmy Sowią Dolinę na skarpie potoku wyrastały jedne z najpiękniejszych zwiastunów wiosny - liliowe, delikatne kielichy krokusów.

MIŁOSNE GODY NA PRZEŁĘCZY

CAŁA fala ciepłych wichrów opadała spod Skalnego Stołu i wtłaczała się w żleb Małej Jamy. Gwałtownie roztopiała zwały śniegów, podnosiła stan wody w potoku Piszczaka do niespotykanego dotąd poziomu. Zalewała w dolinie coraz to nowe młodniki i rozlewała się szeroko po śródleśnych łączkach. Stawała się wielkim zagrożeniem dla cietrzewi, które szykowały się do wiosennych toków i budowania gniazd. Również zaniepokojeni byli ich mniejsi sąsiedzi - drozdy, które tej wiosny zdążyły już wybudować nad potokiem swe gniazda i przystępowały do wysiadywania jaj. W bezwietrzne dni jeszcze przed świtem koguty leciały nad Tabaczną Ścieżką w stronę Kruczych Skał i Wołowej Góry, jakby chcąc sprawdzić, kiedy to ciepło się zatrzyma i zniknie zagrożenie.

Wszyscy, którzy tej wiosny wędrowali z Przełęczy Okraj na Skalny Stół, czy do leśniczówki Jedlinki, bez trudu, zwłaszcza wczesnym rankiem, mogli zobaczyć częste przeloty tych czarnych ptaków ponad swoimi głowami. Ze względu na niecodzienność tych spotkań stały się wielką atrakcją dla turystów, a szczególnie radowały serca myśliwych polujących tu na dziki i jelenie.

*

Z początku było ciemno, Wiesiek szedł pierwszy, oświetlał drogę latarką. Oczy przyzwyczyły się do ciemności, powoli zacząłem odróżniać kamienie i powywracane pnie, omijać niebezpieczne lodowe muldy. A wydawało się po wyjściu z Bacówki na Okraju, że mgła i noc uniemożliwią nam dojście do wąwozu i potoku. Drogę tę znałem prawie na pamięć, choćby z ubiegłorocznego rykowska. Tu przecież czatowaliśmy na byki, które schodziły z grzbietu w doliny. Teraz wiosną przy chłodnej, sprzyjającej pogodzie na

stokach słyhać było tokujące cietrzewie, nieraz bardzo odległe. Szczególnie intensywny ich bełkot odkryłem wśród starych okazów jodły i buków w 300 - metrowym wąwozie potoku przy Świerkowej Ścieżce.

Gospodarz wskazał mi wykrot, a raczej jamę pod korzeniem wyróconego świerka. Możliwie jak najciszej wtoczyłem się do jej wnętrza, usiadłem na krzeselku i okryłem szczelnie kocem. Przed sobą rozwiesiłem maskującą siatkę. Mijały długie minuty oczekiwania. Trwałem w bezruchu, najmniejsze poruszenie powodowało obsypywanie się na głowę piasku i kamieni. Robiło się coraz bardziej zimno, a gęsty płaszcz mgieł szczelnie otulał wszystko. Długo czekałem nim na wschodzie niebo zaczęło szarzeć. Nagle ze środka łąki, ze szczytu najwyższego świerka popłynęło w dół kilka melancholijnych pojedynczych fanfar. Były głośnie i rozchodziły się daleko, tony ich pobrzmiwały nastrojowo i uroczyście. Swym urzekającym śpiewem drozd zwiastował nastawanie wiosny. Przerwał go dopiero głośny łopot skrzydeł i wylądowanie w konarach dużego ptaka. Potem słyhać było już tylko donośny, wojowniczy bełkot, głośnie podskakiwania i czuszykanie.

Naraz wszystko ucichło, czyżbym został odkryty? Słońce jakoś nie miało chęci pokazania się nad doliną, ale wyraźnie zrobiło się jaśniej.

Cietrzewie po chwili rozpoczęły swe toki od nowa. Po wschodzie słońca ożywiły się i było je słyhać coraz bliżej mej czatowni. Na czuszykanie samca odpowiadał inny cietrzew, znajdujący się w pobliżu. Tej grze towarzyszyły bełkoty i ciągły łopot skrzydeł.

Z mego domku bezskutecznie w lornetce wypatrywałem sprawcy tych wojowniczych popisów. Jeszcze było zbyt ciemno, ale już coraz wyraźniej mogłem rozpoznawać poszczególne konary i skałki.

Naraz pod pniem powalonej brzozy odkryłem czarny, podobny do leżących tu kamieni, nieruchomy punkt, a kiedy się poru-

szył wiedziałem już, że to tokowik. Chyba ten sam, który z łopotem skrzydeł wylądował dzisiejszego ranka.



Tymczasem kolor nieba zmienił się w fioletową szarość, a ze szczytu drzewa dalej płynęły pieśni miłosne drozda.

Pozazdrościł mu większy sąsiad, bo bełkot, spod pnia płynął teraz bez przerwy - raz ciszej, a potem znów głośno. Podobne głosy dało się słyszeć z różnych miejsc zbrocza.

Tokowik w różowym świetle poranka, prezentował się okazale i dostojnie. Granatowa sylwetka ptaka wyraźnie odcinała się od zieleni i żółci traw. Nastroszone pióra zdobiły białe plamy, które niczym sygnalizator w tej szarówce raz były u góry i raptem opadały.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w obiektywie ptak był odwrócony, a wielka czarna lira wyrastała ponad śnieżnobiały pióropusz? Było jeszcze zbyt ciemno, ale nim ptak wybiegł na ścieżkę dwukrotnie aparat zarejestrował jego sylwetkę.

Teraz kogut bulgotał zawzięcie. Na tle wysuszonych traw wydawał się jeszcze bardziej bojowy. Dreptał w miejscu, poczym błyskawicznie pognął parę kroczków i podniósł wysoko łeb – czu-

szukał, zabawnie podskakiwał i opadał w to samo miejsce. Błyszczącym granatem, czerwienią swej głowy i białą plamą na swej sukni wabił kury.

Znikły już zupełnie wodą połyskujące trawy, słońce zajrzało do wnętrza wąwozu, znów zaśpiewał drozd, a po nim – „kek”, powtarzany głos kury, słychać było tuż obok.

Cieciorkę trudno było odkryć. Jej upierzenie zlewało się zupełnie ze zgniłymi barwami traw. Przy tym kura była bardzo ostrożna i podejrzliwa. Chyba usłyszała trzask migawki, bo jak rażona śrutem wpadła w wysokie trawy. Za nią bez wahania i namysłu udał się jej ulubieniec, przed obiektywem pozostała tylko pusta łączka.

Po chwili grały już wszystkie koguty, a popisywanie się przed nimi kur wyraźnie było słychać w kilku miejscach z boku. Przelatywały też często nad grającymi samcami, choć zarejestrowanie ich na kliszy było bardzo trudne.

Zrobiło się już bardzo ciepło, a dzień był w pełni. Zziębnięty na kość miałem już opuścić swój domek pod wykrotem, gdy jakiś czarny ptak, wielkości naszego szpaka, usiadł obok, na wystającym korzeniu z mej czatowni. Przybliżył się do mnie, usiłował sprawdzić czy aby się nie pomylił. Kiedy upewnił się o mojej obecności, wyraźnie chciał się ze mną zaprzyjaźnić? Zdjąłem przy nim siatkę, przefrunął tylko z dwa metry i dalej się mi przyglądał.

Ale byłem gapa. Teraz dopiero odkryłem jego gniazdo, a w nim partnerkę wysiadującą jajka.

Najpierw pośpiesznie zrobiłem parę zdjęć, ale kiedy samiczka zaczęła mi wyraźnie pozować do fotografii, czekałem tylko na najciekawsze jej pozycje, w których wyglądała najokazalej.

Pozostawiłem już cietrzewie i tylko zająłem się oglądaniem drozdów, które chyba od pierwszego wejrzenia zaakceptowały moją obecność, a ja je bardzo polubiłem.

Ptak siedzący na gnieździe przypominał mi wyglądem naszego kosa. Odróżniała go jednak biała, księżycowa pręga na piersi.

Wyszedłem z ukrycia na zewnątrz, zbliżyłem się jeszcze bardziej do gniazda, zrobiłem znów parę zdjęć i nie chcąc stracić zaufania samiczki usiadłem obok i słuchałem fanfar jej partnera. A on przed nami ze szczytu drzewa prześcigał się swym doniosłym i urzekającym śpiewem.

Byłem świadkiem cudownego przedstawienia, miłosnych godów tych dwóch górskich ptaków na przełęczy, z początkiem wiosny.





POLSKO – CZESKI GŁUSZEC

W Karpnikach mieszka stary góral spod Bukowiny. Całe swoje życie dzielił pomiędzy włóczęgę po lesie, a rękodzielnictwo. Miał duszę ludowego artysty i lubił rzeźbić w drewnie zwierzęta i ptaki.

Jego myślistwo nie polegało na tropieniu zwierząt i polowaniu, a na podglądaniu przyrody i znoszeniu do chaty, co ciekawszych sękatych konarów, z których potem powstawały urodziwe figurki. Rzeźby, które strugał, miały naturalny kształt i chętnie były nabywane do prywatnych kolekcji.

Kiedyś z ciekawości zapytałem górala skąd u niego taki zapach do rzeźbienia tokującego głuszca?

– A bo widzi pan – odpowiedział! – Znam oswojonego koguta, pół Czecha, a pół Polaka i mogę się jemu przyglądać do woli. On mnie zna od lat i obaj się lubimy.

Cały czas miałem na myśli koguta z hodowli wolierowej, aż raz ośmieliłem się zapytać, czy nie warto byłoby tego aktora sfotografować?

– To nie takie proste - odpowiedział mój znajomy – ten kogut żyje na granicy parku i państwa. Raz mieszka po stronie czeskiej, a drugi raz po polskiej. Od wielu lat wiosną go stale spotykam i chyba cieszymy się z tego wspólnie.

Ta informacja dla mnie była zaskoczeniem. Przrzekłem sobie, że przyszłej wiosny namówię górala do wspólnej wyprawy na granicę parku i ewentualny udział w spotkaniu z polsko - czeskim trubadurem.

Ptak miał tokować na drzewach, które rosły na zalesionym zboczu, powyżej 1200 m, obok skał zwanych Starymi Granatami, aż pod Drogę Przyjaźni, która biegła po czeskiej stronie Grzbietu Kowarskiego.

– Tam w lasach, pod Smerćinną żyło wiele tych ptaków, ale tylko ten czuł się naszym krajanem i często nas odwiedzał – opowiadał góral.

Te tereny przy granicy dzierżawiło koło łowieckie „Knieja”. Wiele jesiennych wieczorów spędziłem tutaj na rykowisku, ale o głuszcu tam tokującym nikt dotąd mi nie mówił.

Góral już właściwie nie polował, ale te skalne przełęcze były kiedyś jego żywiołem. Obiecał, że wiosną następnego roku odszuka znajomego głuszca, a wówczas spróbuje mi go pokazać.

Tego roku zima przyszła sroga, śnieg już leżał w górach od Wszystkich Świętych, a jego pokrywa była wyjątkowo gruba. Za to wiosna wybuchła nagle. Wiatry fenowe, które szalały w marcu, wymiotły go niemal doszczętnie, a resztki stopiło kwietniowe słońce.

Na umówioną wyprawę pod Przełęcz Kowarską wybraliśmy się z początkiem maja. Było już ciepło, wiosna w górnych reglach Karkonoszy stała się faktem. Zazieleniły się zbocza, na drzewach pojawiły się nowe odrosty, nad głowami uparcie wlatywał siwar-

nik, ptaszek nieco mniejszy od skowronka i siadał na szczytach drzew. Znow wlatywał pionowo w górę i tokował, po czym gwałtownie opadał zataczając taneczne kręgi i wytrwale śpiewał.

Spod leśniczówki Jedlinki szliśmy już prawie dwie godziny. Droga stale pięła się pod górę, była kręta, ale wygodna. Dopiero od potoku Malina stawała się wyboista, aż do samego schronu Budnik. Tam na szerokiej polanie mieliśmy przenocować. Była tu świetna baza wypadowa na zbocza porośnięte lasami pod Kowarskim Grzbieciem. Ze schronu do granicy Parku było niedaleko, a do tokowisk głuszca droga prowadziła po warstwiczy zbocza.

Krótką noc minęła szybko. Jeszcze przed świtem siedziałem ukryty w porzrzucanych na stoku skałach. Poobijany przez korzenie i wykroty, w towarzystwie górala czekałem uzbrojony w aparat fotograficzny na głuszca, który nie bał się ludzi. Po lewej stronie miałem opadające zbocze porośnięte starodrzewiem, a na wprost rysowały się kontury wykrotów wśród niskich świerkowych młodników.

Nagle nad nami powietrzem targnął jakiś wielki szum. Nad skałami przeleciało jakieś wielkie ptaszysko, które z łopotem skrzydeł usiadło na pobliskim pniaku. Po chwili głośnie telekanie napełniło las.

Sierp księżycy stał nad zboczem, rzucał reszki martwego światła. W lornetce dobrze widziałem gracza. Czy aby dotrwa tu do świtu? Gdzieś w oddali odezwał się po cichu inny kogut.

Niebo nad Okrajem już zbladło. Dotąd prawie ciche zbocze ożywało coraz bardziej. Obok na skale usiadło kilka ptaszków, mniejszych od wróbli, chyba zabarwionych na czerwono. Nie bały się zupełnie i spokojnie odleciały. Sprawdziłem miejsce, w którym zapadł stary gracz. Było puste.

Zrobiło się już zupełnie jasno. Naraz przed naszą skałą na konarze drzewa usiadł czarny ptak. Zamarłem w bezruchu, gdyż to było nagłe i niespodziewane. Czułem, że mi się przyglądał, dziwiła go chyba błyszcząca soczewka obiektywu. Raz patrzył na mnie,

później się odwracał by ponownie spojrzeć mi prosto w oczy. Nie miałem śmiałości przycisnąć spust aparatu, a on mnie chciał rozpoznać. Góral pokazał swoją twarz. Głuszec nie reagował. Teraz się uspokoił. Teraz dopiero zrobiłem trzy zdjęcia. Czas, podczas tego spotkania płynął szybko, film w aparacie skończył się jeszcze szybciej. Hałas migawki jednak go wypłoszył. Jednak też jemu zawdzięczam wymarzone fotografie z karkonoskiej kniei.

Znów po lewej stronie skały tokował stary głuszec. Nastroszył pióra. Chyba dostrzegł rywala, bo wydał gardłowy okrzyk, a zupełnie nie słyszał głośnego szmeru migawki aparatu.

Blask światła wtoczył się w las i rozjaśnił swym światłem jego wszystkie zakamarki. Z nabożnym skupieniem góral pokazywał mi swego ulubieńca. Wydawało się, że głuszec jednak był rozczarowany tym spotkaniem. Wskakiwał i zeskakiwał z pniaka i za nic nie chciał się zbliżyć do nas.

W coraz jaśniejszej fali światła srebrzyły się resztki śniegu na Kowarskim Grzbiecie. W tym kierunku leciały z głośnym bełkotem niektóre ptaki. Inne znów wracały zza granicy, więc tych o podwójnym obywatelstwie było tu więcej. Przed nami jednak las cichł coraz bardziej.

Schodzimy – zdecydował góral. Śliskie kamienie wymagały od nas ostrożności i uwagi. Zastanawiające było, jak myśmy tu w nocy się wdrapali! Ale na pewno warto było!

Znów trzeba będzie czekać cały długi rok na spotkanie z przyjaznym ludziom głuszcem. A góral naszkicował sobie trzy nowe sylwetki tego ptaka do rzeźbiarskiej kolekcji.

RYKOWISKO

POD GWIAZDAMI

ZA Szerokim Mostem droga wiała się stromo pod górę. Nie puszczałem nogi z gazu. W najmniej spodziewanym miejscu była usłana kamieniami, co jeszcze bardziej utrudniało jazdę. Ułaz huczał na pełnych obrotach, podskakiwał i trząsał jakby miał się zaraz rozlecieć na pół.

Obok wody potoku Płomnicy przelewały się po oślizgłych kamieniach i szumiały jak wielki wodospad. Po drugiej stronie drogi mieliśmy wąwóz i wielkie skały – ta najbliższa to Buława. Dalej jakby silnik się uspokoił, droga wiodła wzdłuż warstwic do leśnego szałas.

Sowia Dolina to najbardziej tajemnicza i najmniej znany górski kanion w Karkonoszach. Rzadko odwiedzany, położony pomiędzy masywami Czarnej Kopy i Kowarskiego Grzbietu, o bardzo stromym wąwozie i alpejskim klimacie. Tej jesieni tryskający przepychem kolorów, barwą skał i łąk, złota, czerwieni i ciemnej zieleni buków jarzębin i świerków.

Nasza droga stała się jeszcze bardziej stroma. To już był koniec tej mozolnej jazdy. Przed nami łąki na stromych stokach, wcięte w Czarny Grzbiet.

W okresie zimy słońce zachodzi za góry na okres siedemnastu tygodni – mówi miejscowy leśniczy. – Ma też miejsce zjawisko inwersji. W tych dniach zalega zimne, ciężkie powietrze, a na szczytach temperatura wzrasta. Tam też chętnie jelenie odbywają swe doroczne gody.

– No to mamy sprawę ułatwioną stwierdził Edek. – Wiemy gdzie szukać kapitałnych byków. Tylko żeby jeszcze była winda na ten szczyt, to już byłoby wszystko w porządku! A tu, jak widać

wymaga się od nas kondycji alpinistów.

Mocno zadarłem do góry głowę, by przyjrzeć się najbliższemu szczytowi i wyschniętej tam na kość resztkę świerkowego lasu.

No pokażesz, co umiesz i tylko nie ośmiesz się i nie stchórz przy wspinaczce na tę górę – powtarzałem sobie w duchu.

Kanion, porośnięty lasem, zbliżał się do nas i pochłaniał jak mroczna jaskinia. Krajobraz wokół był nieprawdopodobnie piękny.

Dopiero późno wieczorem zakwaterowaliśmy się w szałasie. Noc wokół stała widna, na stokach poświata księżyc srebrzyła się wśród resztek martwych drzew.

Kiedy odbierałem odstrzał od łowczego Wieśka z Kniei, do którego ten obwód należy nawet mi do głowy nie przyszło, że będę musiał pokonywać takie wzniesienia?

W głębokiej ciszy, co raz butami spychałem kawałki skałek, które toczyły się głośno w dół, zdradzając drogę mojej wspinaczki.

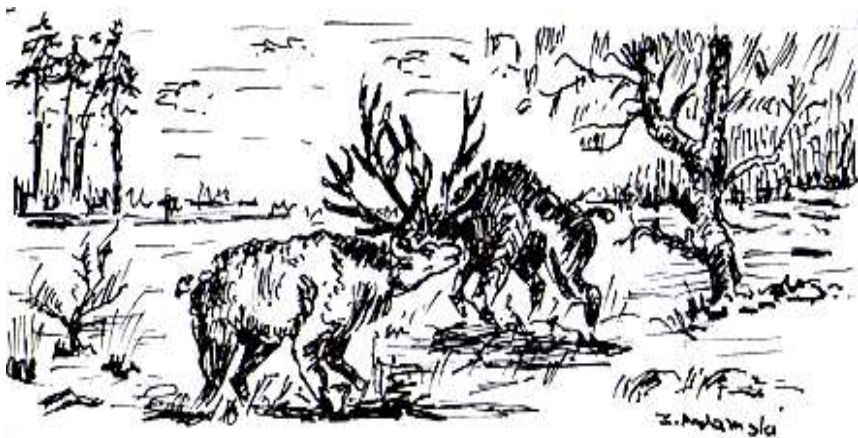
Ciągle trzeba było iść do przodu. Stanąć nie było jak – natychmiast leciało się w dół. A tu jeszcze ten ciężki ekwipunek i strzelba! Na chwilę przysiadłem i starałem się nie patrzeć za siebie. Panowała tam zupełna ciemność, choć było blisko przedświt i księżyc pochylił się już ku górze. Nie ma co ryzykować. Trzeba pozostać i nasłuchiwać, tym bardziej, że ze szczytu dochodzą krótkie stęknienia. Ułożyłem się wygodnie na ziemi i przykładalem ucho do wystającej skały. Wyraźnie słyszałem trzaskanie gałązek zdradzające obecność jeleni.

Robiło się coraz jaśniej, choć dzień wstawał ospale. Gwiazdy jeszcze wisiały nisko, ale były już coraz bledsze.

Gwałtownie wzrósł hałas na szczycie pomiędzy drzewami. Tam skierowałem lornetkę. Czerwone sylwetki łań były ciągle w ruchu. Wśród nich był też byk. Na łbie niósł krzaczasty wieniec, wystający aż ponad zarośla.

Ryczał donośnym głosem. Basowe echo, odbite od przyległego zbocza, wracało i straszło chmarę. Jelenie wybiegały na

stok. Przez dobrą godzinę obserwując dwa młode byczki, które walczyły dla zabawy, ale coraz bliżej łań. Natychmiast odskakiwały, kiedy zaatakował je agresywny stadny byk.



Wybruszony stok przeszkadzał w lepszej obserwacji. Decyduję się jeszcze podejść wyżej. Mój nieznaczny ruch dostrzegła któraś z łań. Nerwowo uderzyła cewkami o ziemię, potem, jak niby nic, cała chmara powoli przesuwa się na południowe zbocze.

Tam siedzi Edek. Może teraz będzie miał okazję zdobycia godnego selekta? Co z tego, że przez moment widziałem czarne, grube wieńce odstrzałowego byka, kiedy trudno było odkryć jego zasłoniętą sylwetkę. Trochę mam do siebie żal, że zachowałem się tak nierozważnie, ale może i dobrze, bo ten stromy stok nie gwarantował precyzyjnego strzału.

Liczyłem jeszcze na łut szczęścia. Jelenie, schodząc w dolinę, mogłyby przeciąć zbocze bliżej mnie.

Tak jak przedtem chmara znów zachowywała się głośno, łamała gałęzie na szczycie, byki ciągle porykiwały i były niespokojne.

Już dobrze po siódmej pierwsza łania w susach sunęła w dół, za nią reszta chmary. Byk nagle zatrzymał się i bacznie mnie obserwował. Odległość znaczna, może z trzysta metrów.

Teraz stokiem rzucił huk! Spłynął w dół by odbić się od doliny i powrócić grzmotem. To strzelał Edek. Jelenie na chwilę zatrzymały się, by znów długimi skokami opuścić zbocze całkowicie.

Za późno na kamerę, nawet na lornetkę. To stało się tak nagle i niespodziewanie, że tylko smugi wyłożonej trawy zaświadczały o ich obecności tu. Chmara znikła mi z oczu za zwałami skał.

Jeszcze tego ranka jelenie ryczały na przyległym wzniesieniu, po stronie Karkonoskiego Parku, aż trząsł się las.

Kiedy schodziłem, popielaty brzask niósł nad stokiem pęczkerze mgły. Na dnie wąwozu stał już leśniczy. Wracał też Edek. Zadowolony niósł gałązkę świerczyny zanurzonej w farbie. Ekwipunek zostawiliśmy w samochodzie, możliwie jak najszybciej pokonaliśmy znów tę wysoką ścianę, już bez broni i dodatkowych ciężarów.

Byk leżał na skałach. Jego szerokie rozłogi robiły imponujące wrażenie na tle kanionu.

Przy pomocy długich lin zaczęliśmy transportować byka w dół. Do celu dotarliśmy dopiero późno po południu.

Leśniczy pomysłowo przymocował wielki łeb zwierza do maski samochodu i prosił o zdjęcia.

Był to już ostatni akord tej wyprawy do skalistego kanionu i środka jelenich godów u szczytu Czarnej Kopy, nocnej ostoi pod niebem usłanym gwiazdami.

W KOTLE ŁOMNICZKI

KAŻDEGO roku jesienią lubię wędrować po Karkonoszach. Są one wówczas najpiękniejsze, niosą najmocniejsze wrażenia i przeżycia.

W latach osiemdziesiątych, pod koniec września, schodząc z Przełęczy pod Śnieżką do skalnego Kotła Łomniczki, jednego z najbardziej malowniczych zakątków wschodnich Karkonoszy, zatrzymałem się przy jednym z Wodospadów Łomniczki. Tutaj też poznałem Maćka, który razem ze mną podziwiał urwiska kotła przecinanego na prawie trzystumetrowej długości ciągiem kaskad i siklaw rwącej wody.

Maciek był kiedyś pracownikiem Lasów Państwowych i Karkonoskiego Parku Narodowego. O Kotle opowiadał tak, jakby czytał z książki. O bujnej, podalpejskiej roślinności, bogatych skupiskach brzozy karpackiej. Mówił, że Kocioł jest wielką niszą z granitowymi ścianami skalnymi, a zbudowane tu pierwsze schronisko przy wodospadzie porwała lawina.

Z Kotła schodziliśmy razem. Maciek zauważył, że go pilnie słucham i nadal dzielił się ze mną wiadomościami o parku, zwierzętach tu żyjących i starych wiekowych świerkach, w których teraz takie spustoszenia robią wiatry fenowe (huragany).

Wiedziałem, że droga, którą szliśmy poniżej schroniska "Nad Łomniczką", prowadzi przez piękne, stare bory świerkowe, poprzecinane młodnikami, skąd roztacza się panorama wschodnich Karkonoszy.

Bory te, graniczące z Parkiem Narodowym, tego wieczora miałem w planie przejść. Niespodziewanie jednak Maciek zaproponował półgodzinny odpoczynek przy herbacie w schronisku. Trudno było odmówić.

Drewniane schronisko, wtłoczone prawie pod kamienną stromą ścianę Śnieżki, otoczone wysokim lasem, robiło wrażenie myśliwskiego domku, ozdobionego zresztą wieńcem jelenim. Stało się doskonałym miejscem do odpoczynku dla schodzących skalistą drogą turystów.

Nasza rozmowa przeciągnęła się znacznie, kiedy usłyszeliśmy basowy ryk jelenia. Zaciekawieni obaj wyszliśmy na zewnątrz. Tutaj już odbieraliśmy całą gamę porykiwań z różnych stron, także błędzącego wśród skał echa. Byłem teraz pewien, że rozpoczęła się najpiękniejsza pora jelenich godów. Maciek, widząc moje zaciekawienie, zaproponował pozostanie tu do nocy.

Sobie znanym sposobem załatwił noclegi, których początkowo było brak. W maleńkim pokoiku zostawiliśmy swoje plecaki i tylko wyposażeni w Maćka latarkę i lornetkę już o zmroku opuściliśmy schronisko.

Krok w krok zaczęliśmy się piąć pod stromy stok Śnieżki. W labiryncie kamieni i pni drzew powoli, potykając się, z zalanymi potem oczami, wdrapywaliśmy się coraz wyżej. Jak zimny prysznic podział na mnie kolejny basowy ryk, który w miarę upływu czasu stawał się coraz bliższy i potężniejszy. Góra stawała się tak stroma, że ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Jeszcze dwadzieścia, dziesięć i pięć kroków, wreszcie koniec. Kiedy chwyciłem się rękoma wykrotu, czułem, że szczybie mnie twarz pocięta gałęziami i ręce pokaleczone przez kamienie, których się chwyciałem.

Ledwo usiedliśmy, gromkie „aaauuu” przewaliło się po stoku w dół, aż krew się we mnie burzyła. Byk potężnym rykiem z otwartej gęby zachęcał do walki rywala. W szklach podanej mi lornetki widziałem nie dalej jak sześćdziesiąt kroków, grzbiet byka, który kładł na nim wieńce. Para buchała z jego gęby.

W drugim końcu gołoborza cienko i krótko ryczał rywal. Stał na skale, oczył w stronę sąsiada. Maciek wyszeptał po cichu:

– Ten to dziesiątak, a tamten mocarny to osiemnastak obustronnie koronny.

Po chwili oba byki straciliśmy z oczu, jedynie trzaski wieńców świadczyły o walce rywali. Byłem zachwycony tym zdarzeniem, coś podpowiadało, żeby wracać, ale jak, kiedy tu tyle porykiwań tęsknych, tyle westchnień! Cały Kocioł Łomniczki trząsał się od hałasu.



Robi się zupełnie ciemno, księżyc chowa się. Widzimy czarne niebo jak smoła i niziutko błyszczące gwiazdki tuż nad szczytami świerków. Schodzimy w milczeniu. Trwa to dość długo. Robimy wiele hałasu, obok milkną wszystkie byki.

Siadamy na chwilę. Maciek mówi, że dotąd chował przed innymi własną przygodę, do której trudno się przyznawać. Chciał o niej zapomnieć, a ona jak bumerang uporczywie wraca w myślach.

– Jeśli ją tobie opowiem, to może będę miał lżej na sercu – stwierdził. – Ona zdarzyła się właśnie tutaj, obok tego kamienia i tego uskoku, przy którym siedzimy. Przed utworzeniem tu rezerwatu ścisłego w roku 1959, otrzymałem odstrzał na byka. Po tygodniu przebywania w Kotle Łomniczki, wybrałem sobie pięknego szesnastaka i jego na tym stromym zboczku strzeliłem. Rankiem

sprowadziłem konia, który pracował przy zrębach. Założyłem zbyt krótką linę i koń pociągnął byka. Ten jednak tutaj, z tej ściany, spadł koniowi na grzbiet i spowodował uszkodzenie kręgosłupa. Byk wprawdzie był duży, ważył ponad 180 kilogramów, ale był też to mój najdroższy w życiu zwierz.

Więcej już tutaj nie polowałem, ale od tego czasu, co roku w czasie rykowiska choć raz tu przychodzę. Muszę się nasłuchać tego grania, tak jak tamtej nocy.

Uczestniczyłem w wielu polowaniach w czasie rykowiska, ale takich, jakie odbywają się w Kotle Łomniczki nie spotkałem już nigdzie indziej.



KRÓLEWSKI MIOT

NIEMAL w każdym kole łowieckim jeden z miotów, a najczęściej ostatni, jest najwartościowszy. Może w całej kniei nie być zwierza, ale w tym właśnie miocie nie ma prawa. On nigdy myśliwych nie zawiódł, a przysparzał najwięcej sukcesów i emocji.

Jest do niego dojść najtrudniej, leży bowiem na krańcu obwodu, często zapomniany, a obstawienie jego jest prawie niemożliwe. Stąd zainteresowanie nim jest niewielkie, chyba, że myśliwi mają dość spacerów po lesie ze strzelbą, niekiedy psy bezskutecznie przeczesują chaszczę i młodniki. Włóczęga po głuchym lesie prowokuje wręcz do wzięcia tego ostatniego, najtrudniejszego miotu, ostatniej często nadziei.

Przeważnie miot ten bierze się na końcu, kiedy zapada już zmierzch, a myśliwi ostatkiem sił obstawiają przesmyki. Zmęczeni robią to tak nieudolnie, że hałas ruszyłby nawet zająca, a nie czujnego jelenia, czy odyńca o na wskroś wyostrzonych zmysłach.

Taki ostatni miot ze względu na trudności jego obstawienia ma koło “Knieja” w Rudawach Janowickich, zwany przez tutejszych myśliwych “królewskim”, ze względu na pozyskiwanie w nim nieprzeciętnych okazów zwierzyny.

Mieszkał tu kiedyś “dziadek”, największy dzik, o szablach wielkich jak kosa. Jelenie powyżej szesnastaka nie były rzadkością, a bywają dorodne rogacze, o pięknie uperlonych, czarnych parostkach. Żyły tu przesadnie duże lisy, zające, tumaki, a nawet głuszce. Jednym słowem jest to matecznik sprzyjający zwierzynie, a niezbyt dostępny dla turystów i myśliwych ze względu na gęste młodniki wrzynające się w kamienne żleby skał. Brany był przez myśliwych tylko wtedy, kiedy nie udawało się cokolwiek spotkać we wcześniejszych miotach i to bardzo wyjątkowo.

Miałem i ja to szczęście zaledwie jeden raz uczestniczyć w obstawieniu już obrosłego wielką legendą sukcesów “miotu królewskiego”.

W mroźny styczniowy poranek stanęliśmy na krótką odprawę. Wokół jeszcze świerki uśpione drzemały pod czapami śniegu, pochylały się w swej szarości pod zabarwionymi na różowo szczytami Krzyżnej i Sokolika. Łowczy koła odprawę przeprowadził zwięźle i fachowo.

Sarny wykonane już w stu procentach, byki także, nawet o jednego przekroczone. Dzisiaj pod kreską mamy dziesięć dzików i kilka cieląt, proszę się nie denerwować – mówił. – W tym sezonie zwiększono o trzydzieści procent pozyskanie jeleni i dzików.

Z szeregu słyhać było ciche „hura”. – Zatem dziś polujemy na... Jednocześnie ostrzegam, co gorętszych kolegów, że oszczędzamy lochy i licówki.

– Potem, zaglądając każdemu z nas w oczy, mówił o bezpieczeństwie, bo z bronią nie ma żartów.

W futrzanej uszatce zabręczały metalowe żetony z numerami stanowisk. Rozlosowano je szybko i poszliśmy w dół zbocza.

Dwie pierwsze strzelby idą na skrzydło, wraz z naganką. Panowały tu zupełna cisza, gdyby nie skrzypiący pod butami śnieg. Nikt nie rozmawiał, jedynie, co pewien czas ręka łowczego wędrowała do góry i najpierw trzy palce nakazywały stanąć trzeciej strzelbie, później była dłuższa przerwa i znów ręka wędrowała do góry. Teraz stanęła strzelba następna.

Tak odbywało się to, do rozstawienia wszystkich myśliwych – w zupełnym milczeniu.

Moje stanowisko wypadło przed kępą brzoź porośniętą świerczyną, na zboczu głębokiego jaru pokrytego łątami śniegu. Nawet najmniejszy szmerek nie zakłócił ciszy tego ranka. Po jakimś czasie zza góry dobiegło ujadanie psa. Po chwili pieski już głośniły. Gon kierował się w stronę naszych stanowisk. Mój sąsiad dobrze wiedział, co to oznacza.



Odpalał od kończącego się papierosa następnego, jednocześnie w dłoniach mocno ścisnął trójłufkę. Biała smużka dymu spływała z jego stanowiska w dół jaru, gdy dwa dziki prowadzone przez psy wyleciały na otwarte zbocze. Defilowały po warstwiczy znacznie oddalonej od linii. Nikt im nie zagrażał. Znów wpadły w las i zgubiły psy.

Nastała cisza. Trwała chwilę, głośnie szelest gałęzi i na nasze zbocze wypadło stadko saren. Rudoczerwone plamy w promieniach słońca płynęły pod górę, potem pobiegły w las i tylko śnieżnobiałe lusterka migotały wśród drzew. Wyszła również naganka. Metaliczny sygnał trąbki, zwielokrotnionym echem odbijającym się o zbocza, ogłaszał koniec pędzenia i nieudanego miotu. Zostały w nim dziki, cztery łanie i ponoć przyszłościowy byczek.

Po krótkiej odprawie postanowiono ten miot powtórzyć, tym razem szczerzej obstawiając zachodnią i południową część góry. Nie było to wcale takie proste. Kilka samochodów wróciło do Karpnik, skąd pełną drogą jechaliśmy do Dolnego Gruszkowa. Polonez doktora szarpał się w głębokich koleinach, zsuwał na obrzeża, w końcu jednak dobrnęliśmy do celu.

Linia myśliwych teraz biegła naprzeciw pofałdowanego pasa łąk, przed wznoszącym się grzbietem góry. Ukryliśmy się wśród samotnych buków, gdzie hałas przesuwającej się wzdłuż zbocza naganki trzymał nas w napięciu. Naprzeciw spod pochylających się świerków odrywa się czarna sylwetka dzika i truchtem oddala od naszych stanowisk. Wbrew regulaminowi zdenerwowany doktor podchodzi do mnie i narzeka, że to nie ma sensu, aby on tam stał dalej. O tej porze przecież zwierzyzna nie wyjdzie na otwartą przestrzeń.

– Co innego latem, strzeliłem tu pięknego rogowca – wspominał – i na zasiadce dzika!

Na pewno usłyszałbym jeszcze inne epizody łowieckie, ale dźwięczny sygnał wzywał na zbiórkę. Tak, więc i ten miot był głuchy – nieudany.

W tym dniu bez wyraźnego rezultatu obstawialiśmy jeszcze dwa dalsze mioty, a kiedy już wydawało się, że przyjdzie nam wracać o przysłowiowym kiju, zaryzykowano. Myśliwskie przysłowie mówi, że najlepszy jest zawsze miot ostatni. Tym razem miało się potwierdzić w stu procentach.

Znów sprawnie rozlosowano żetony. Moje stanowisko wypadło w głębokim wąwozie, tuż przy płątaniu bezlistnego bzu, naprzeciwko tajemniczego młodnika. Z lewa poszarpany grzbiet góry ostro rysował się na tle nieba, a z prawa był ośnieżony północny stok, ciągnący się ponad sto metrów. Niedługo czekaliśmy. Kiedy odezwały się Kos i Kama, wiedzieliśmy, że gon zbliża się szybko do linii.

Z głośnym hałasem, łamiąc gałęzie i ciężko stąpając wypada jak burza z młodnika potężny dzik. Jego fukanie i złość, skowyt psów, rozdzierają straszliwą ciszę. Na szczycie grzbietu ukazują się dwa przelatki. O strzale nie ma mowy, jest zbyt niebezpieczny, kula nie ma oparcia.

Z boku wypada czarne, wielkie dziczysko i razem z hukiem wystrzału zwalnia wyraźnie bieg. Znów od młodnika odrywają się

czarne sylwetki dzików i pędzą na śnieżny stok. Kanonada trwa! Dzikami rzuca, przyspieszają i wpadają do zbawczego lasu.

Dalsze trzy czarne pługi prują śnieg. Huk wystrzałów targa groźnie powietrzem, kurzy zsypującym się z gałęzi śniegiem! Po-tem wszystko zastyga w bezruchu i cisza zalega na dłuższy czas.

Jakże inaczej brzmi teraz sygnał kończący to polowanie. Wydobywa się jakby z głębokiej studni, grany na lufach starej du-beltówki. Dźwięk ten na długo zalega wśród starych pni i błdzi na skalnych ścianach.

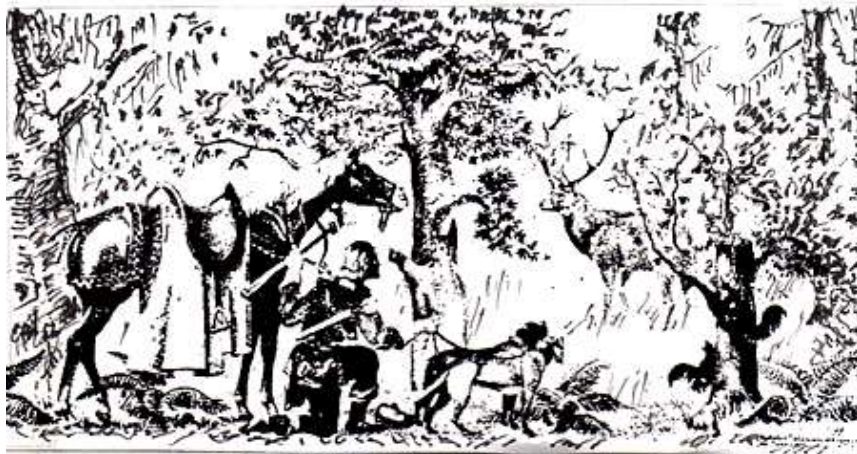
Z czterech powalonych tego wieczoru dzików, trzy były przelatkami. Tylko jeden z nich wyraźnie wielkością i sylwetką, przypominającą garbatego żubra, wzbudzał wielkie zainteresowa-nie. To właśnie on pokaleczył psy, to on wpadł na linię z taką furią i kłębami pary wydobywającymi się z jego pyska, że wzbudził ogólny strach.

Z wielką powagą i dostojeństwem przebiegała ceremonia zakończenia tego udanego polowania. Z pełnym nabożeństwem klęknął przed pierwszym swoim dzikiem jeden z najmłodszych nemrodów i przyjął z kordelasa łowczego koła umaczaną w farbie gałązkę świerczyny.

Razem z dźwięcznie płynącą muzyką z rogu myśliwskiego zakończył się ostatni miot, zwany “królewskim”, który myśliwych tego koła nigdy nie zawiódł, a przynosił najwięcej cennych trofe-ów, wielkich przeżyć i emocji.

Chcąc być szczerzy, wbrew temu, co napisałem na wstępie, muszę stwierdzić, że nie był to miot ostatni, gdyż ten odbył się przy wspaniałych flaczkach. Nazywał się miotem “Pod ostoją”. Opo-wiadaniom przeżyć nie było końca. Każdy z uczestników polowa-nia miał do przekazania coś ważnego ze swych wrażeń, a flaczki były bardzo smaczne.





KOŁO ŁOWIECKIE "KNIEJA"

**Gospodaruje na najpiękniejszych terenach
Kotliny Jeleniogórskiej**

Data założenia koła: sierpień 1964 r.

Założyciele Koła:

**Michał Godzisz, Tadeusz Żurowski, Ryszard
Mierzwiński, Bronisław Kleczewski, Tadeusz
Kubiński, Władysław Palider, Stefan Załoga,
Jerzy Olewiński, Jan Leśniak, Witold Buczyński,
Stanisław Bejger.**

Już ponad 45 lata gospodarujecie na najpiękniejszych terenach Kotliny Jeleniogórskiej. Odczuwacie potrzebę obcowania z górami, ich przyrodą i krajobrazem. Dobrze służyście temu regionowi – powiedziała ówczesna wójt gminy Mysłakowice, pani Elżbieta Zakrzewska na uroczystym jubileuszu 30-lecia koła łowieckiego "Knieja".

Obchody rocznicowe odbyły się na skraju Uroczyska "Doły Łomnickie" w 1994 roku i zgromadziły bez mała 200 osób. W obecności władz Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, przedstawicieli Nadleśnictwa, miejscowych władz samorządowych, myśliwych i ich rodzin odsłonięto w obwodzie nr 66, obecnie 265 i poświęcono wspaniały obelisk św. Huberta.

Wszyscy uczestnicy zostali zaproszeni do Uroczyska, gdzie odbył się wspaniały festyn myśliwski połączony z koncertem hejnałów, wystawami trofeów i fotografii przyrodniczo-łowieckiej. Eksponowano również kroniki i roczniki "Łowca Polskiego".

Zorganizowano strzelanie do rzutków, młodzież i rodziny obwożono po kniei bryczką, bawiono się przy muzyce, a festyn zakończono imponującym pokazem sztucznych ogni nad leśnym stawem.

Patrząc z perspektywy lat można śmiało powiedzieć, że oprócz częściowych zmian w zarządzie "Knieja" radzi sobie nieźle, jest jak dawniej bardzo gościnna.

Szczególną uwagę przykłada się do tradycji i zwyczajów łowieckich. Obchodzi się uroczyście dzień św. Huberta i zakończenie sezonu łowieckiego.

Starsi myśliwi cenią sobie obwód nr 265 – ten położony niżej, inni zaś, ci wytrawni – ten nr 287 uzyskany w roku 1969 - trudny wysokogórski, wzdłuż granicy państwa i niedostępny w czasie srogiej, śnieżnej zimy.

Koło Łowieckie "Knieja" w Jeleniej Górze powstało w 1964 roku z inicjatywy ówczesnego dyrektora PKS Michała Godzisz,

Tadeusza Żurowskiego, Ryszarda Mierzwińskiego, Bronisława Kleczewskiego, Władysława Palidera i Tadeusza Kubińskiego - pracowników PKS.

Przy poparciu łowczego powiatowego Stanisława Bejgera myśliwi ci przeszli z koła łowieckiego "Darz Bór" i koła "Jeleń".

Koło "Knieja", otrzymało uwolniony obwód najpierw nr (66) 265, a później - 287 .

Pierwszym prezesem został Michał Godzisz, łowczym Ryszard Mierzwiński, a sekretarzem i skarbnikiem Wiesław Buczyński.

W obwodzie nr 265 o powierzchni 5.141 ha znajdowały się wówczas tylko trzy paśniki i kilka ambon. Potem powstało 10 magazynów na paszę, ambon 15 oraz 30 innych urządzeń łowieckich, takich jak podsypy dla kuropatw itp. Dawniej ze zwierzyną również było nie najlepiej. Jeleń był rzadkością. Zaczynano gospodarkę łowiecką od dyżurów, gdyż zwierzyna padała łupem kłusowników.

W 1972 roku Zarząd Lasów Państwowych we Wrocławiu oddał obwód hodowlany nr 72, a dzięki poparciu przewodniczącego WRŁ Koło otrzymało część górską tego obwodu nr 287 o powierzchni 2.633 ha. Jest to teren trudny, do wysokości 1200 m n.p.m., przylegający do granicy państwa i Karkonoskiego Parku Narodowego. Był to obwód surowy, bez urządzeń łowieckich, dopiero Koło zaczęło od nowa zagospodarowywać tym obwodem.

W początkowej fazie myśliwi niejednokrotnie dopłacali do hodowli zwierzyny, budując urządzenia łowieckie i uprawiając poltka. Ale trud ten nie poszedł na marne.

Koło liczy 42 członków i 1 kandydata, gospodaruje dobrze na obu obwodach, o czym świadczą wyniki finansowe i to, że w ostatnich latach znacznie ograniczono szkody łowieckie. Od lat przyjmuje zgłoszenia o zagrożeniach na polach, a myśliwi wspólnie z rolnikami je pilnują.

Problemem od wielu lat jest narastające kłusownictwo. Myśliwi coraz częściej zdejmują sidła, w które wpadają sarny. Współpracują ze szkołami, co przynosi wymierne efekty przy likwidacji wnyków i dokarmianiu zwierzyny drobnej i ptactwa oraz dzików i jeleni. Aktywnie uczestniczą w pracach społecznych na rzecz łowiectwa.

W obu obwodach systematycznie wzrasta, dzięki zabiegom hodowlanym, pogłowie zwierzyny. Jedyne sarna występuje stale na średnim poziomie.

W obu obwodach systematycznie wzrasta, dzięki zabiegom hodowlanym, pogłowie zwierzyny. Jedyne sarna występuje stale na średnim poziomie.

W latach dziewięćdziesiątych do obwodu nr 265 wypuszczono 200 bażantów. Występują tu także kuropatwy, na które myśliwi tu nie polują, borsuki, lisy, dziki i jelenie oraz ptactwo wodne. W ostatnich latach nad obwodem widuje się często parę sokołów wędrownych i czasami orła bielika. W łowisku występują ponadto jenoty, borsuk, kuropatwa, jarząbek, kaczka, gołąb grzywacz i gołąb siniak. Z gatunków chronionych gniazduje bocian czarny, cietrzew, czapla siwa, czapla biała, ptaki drapieżne, takie jak myszołów, jastrząb zwyczajny, pustułka, sokół, kobuz, jastrząb gołębiarz, a przy zbiornikach wodnych spotkać można kormorana

Zarząd działa bardzo dynamicznie na rzecz polepszenia warunków bytowych dla zwierzyny i dalszego zwiększania jej pogłowia. Aktywnie propaguje idee łowiectwa i ochrony przyrody oraz kontynuuje tradycje łowieckie, o czym świadczy wzorowa organizacja polowań i imprez łowieckich.

CZŁONKOWIE KOŁA

Edmund Adamski, Andrzej Babiński, Tadeusz Błażejowski, Tomasz Cegliński, Witold Cegliński, Czesław Ciechanowski, Jan Ciesielski, Wiesław Ciesielski, Andrzej Chojnacki, Marcin Dubicki (prezes zarządu koła), Jarosław Dybiec (vice lowczy), Grzegorz Feiga, Michał Godzisz, Zbigniew Hanuszewicz, Jerzy Ignaszak, Jacek Jacków, Zbigniew Kleczewski, Ryszard Klisko, Michał Kołacz, Jan Kowalski, Ryszard Kubiak, Waldemar Kurczyński, Janusz Kurzydłowski, Stanisław Matusiewicz (skarbnik), Ryszard Matyja (sekretarz zarządu koła), Ryszard Michalkiewicz, Anatol Michałowski, Janusz Mierzwiński, Daniel Nowicki, Tomasz Nowicki, Stefan Olejniczak, Andrzej Oleńkiewicz, Bogdan Parkitny, Tadeusz Poręba, Grzegorz Porębski (lowczy), Zygmunt Rapa, Jan Sibiński, Józef Strupczewski, Henryk Szczepański, Józef Walichnowski, Ryszard Wysockański, Tadeusz Żurowski.

ODESZLI NA WIECZNE ŁOWY

Jan Antosz, Kazimierz Brański, Leszek Cegliński, Bronisław Kleczewski, Krzysztof Kowalski, Tadeusz Kubiński, Wiesław Nowacki, Jan Masiowski, Ryszard Mierzwiński, Tadeusz Mruk, Władysław Palider, Jan Pawłowski, Józef Rode, Ireneusz Sychocki, Bogdan Szafir, Jan Tara, Czesław Werpulewski, Stefan Załoga.

MIESZKAŃCY KARKO- NOSZY

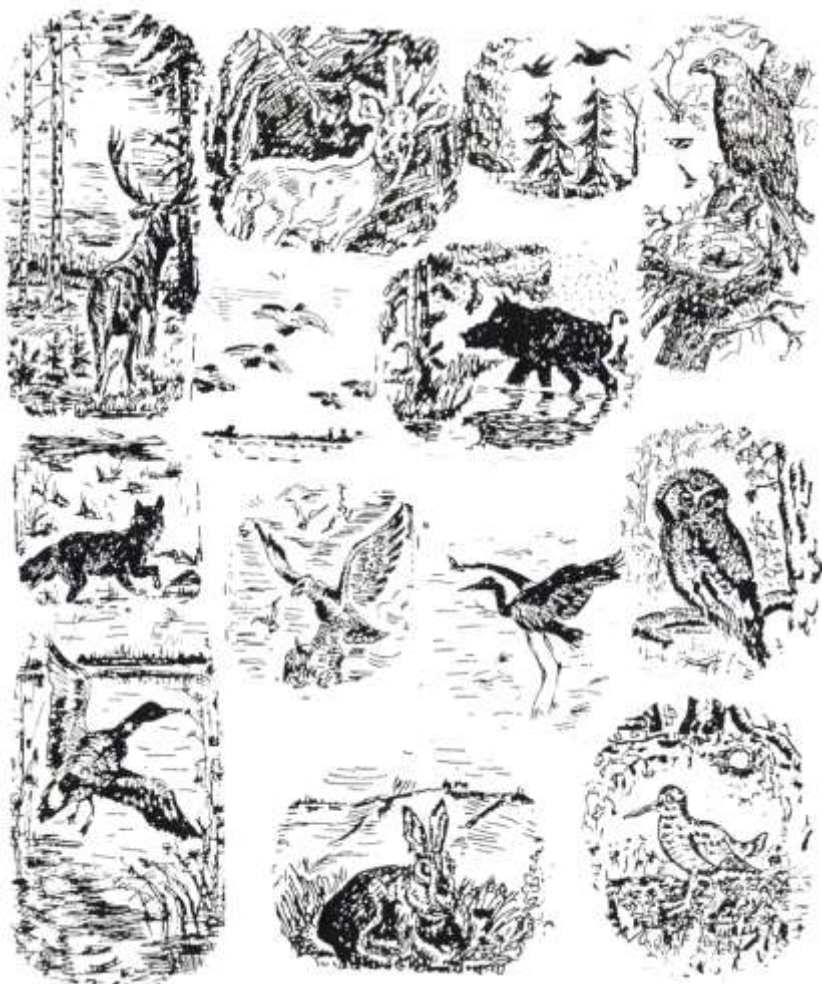


FOTO KRONIKA

KOŁA ŁOWIECKIEGO

„KNIEJA”

W JELENIEJ GÓRZE



Obelisk ku czci patrona łowiectwa utworzony z okazji 35-lecia Koła Łowieckiego „KNIEJA” w obwodzie w Karpnikach



Uroczystość św. Huberta 07 listopada 2009r



Siedziba Koła w Kowarach.



Msza święta z okazji Św. Huberta w 2005 r. w Karpnikach.



Brama wjazdowa do siedziby Koła Łowieckiego „Knieja”.



Siedziba Koła Łowieckiego „Knieja” w Kowarach.



Siedziba Koła Łowieckiego „Knieja” w Kowarach.



Spotkanie myśliwych i ich rodzin u Ducha Gór w Karpaczu.



Biesiada Hubertowska.



Bogdan Parkitny w otoczeniu rodzin myśliwskich.



Łowczy Z.O. PZŁ Kazimierz Koncewicz, kapelan myśliwych
Jan Nićko i Edmund Adamski



Odprawa myśliwych przed polowaniem zbiorowym.



Tomasz Nowicki, Zbigniew Kleczewski, Henryk Szczepański
podczas polowania.



Wiata pod Skalnym Stołem wybudowana przez członków koła.



Szlak na Budniki w obwodzie 287.



Paśnik dla zwierzyny na Budnikach.



Zwyzka do obserwacji zwierzyny w Karpaczu.



Rozpoczęcie polowania zbiorowego w 2009r: J.Mierzwiński, W.i T.Ceglińscy, Z.Kleczewski, J.Kowalski, J.Jackow, C.Ciechanowski.



W drodze do kolejnego pędzenia.



Jan Kowalski i Klisko-syn członka koła w czasie wydawania posiłków.



Posiłek z okazji św. Huberta w 2009 r.



Posiłek z okazji św. Huberta w 2009 r.



Ryszard Klisko i Jan Kowalski.



Król polowania-W.Cegliński, J.Strupczewski i M.Dubicki
(prezes koła) na zakończeniu polowania.



Łowczy G.Porębski wręcza medal króla polowania
W.Ceglińskiemu.



Okraj - wśród myśliwych - R.Sysak (łowczy Koła „Grzywacz”
z Lwówka Śl.) z ojcem Stanisławem.



Ambony w rejonie brzózek (łowisko Karpacz).



Zbiorowe polowanie w leśnictwie Jedlinki.



Pokot (łowczy G.Porębski na planie pierwszym).



Przy ognisku Ryszard Klisko i Stefan Olejniczak.



Zakończenie polowania w obwodzie 287.



Łowczy G.Porebski wręcza medal T.Ceglińskiemu.



Pokot: m.in. R.Klisko, M.Dubicki (prezes koła).



G.Porębski (łowczy), M.Dubicki (prezes), T.Cegliński.



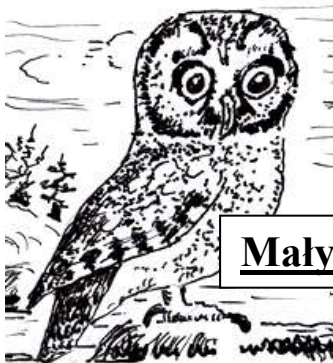
Ognisko na zakończenie polowania.



EDMUND ADAMSKI
Jest aktywnym członkiem Koła Łowieckiego „Knieja” i działaczem łowieckim. Powyżej prezentowane zdjęcia są jego autorstwa. W dużej mierze przyczynił się również w powstanie tej książki.



Dzik mieszkał w lasach mieszanych „Królewskiego Miotu”.



Mały słownik języka łowieckiego

ALBINOS – zwierzę dotknięte bielactwem

AMBONA – stanowisko myśliwskie zbudowane na palach lub na drzewie dla obserwacji i polowania

BARŁÓG – legowisko dzika w czasie spoczynku w ciągu dnia.

BADYL – noga sarny lub jelenia

BAŻANT – ptak łowny z rodziny kurowatych

BEZPIECZNIK – mechanizm zabezpieczający broń przed oddaniem przypadkowego strzału

BIEGI – nogi

BORSUK – ssak z rodziny łośnicowatych, mieszka w norach, zimę spędza w półśnie

BÓR – typ lasu iglastego

BUCHTOWISKO – ziemia poryta przez dziki poszukujące żeru

BYK – samiec: jelenia, żubra, daniela i łośia

BRENEKA – kula używana do broni śrutowej

CEWKA – noga sarny

CIETRZEW – ptak wielkości kury z rodziny gęszcowatych, zamieszkuje wrzosowiska i torfowiska

CHŁYST – młody jeleni, byk asystujący bykowi stadnemu, kibic, towarzysz przy chmarze w okresie rykowiska

CHMARA – stado jeleni

CHYB – gęsta, sztywna szczecina na karku dzika

CYRANKA – dzika kaczka, pod ochroną od 1995 r.
CZAPLA SIWA – łowny ptak, rybożerny
CIĄGI – przeloty dzikich gęsi lub kaczek na żerowiska
CZATY – myśliwy czatuje na zwierzynę (zwyszka, ambona itp.)
CZOK – zwięźenie lufy w broni śrutowej
CZUSZYKANIE – głos wydawany przez koguta cietrzewia w czasie tokowania
DARZ BÓR – myśliwskie pozdrowienie
DĄBROWA – drzewostany dębowe zamieszkiwane przez dziki
DIANA – rzymska bogini łowów
DRAPIEŹNIK – zwierzę żywiące się innymi gatunkami zabijanymi przez siebie
DROZDY – ptaki z rzędu wróblowatych - paszkoty i kwiczoły
DRYLING – myśliwska broń łamana o dwóch lufach gładkich i jednej gwintowanej
DUBLET – dwa oddane celne strzały, jeden po drugim do dwóch sztuk zwierzyny
DWUNASTKA – broń myśliwska – śrutowa
DWUNASTAK – jeleń noszący na głowie rogi o sześciu odnogach każdy
DZIK – łowny krewniak świni domowej, żyjący w lasach
EUSTACHY św. – dawny patron myśliwych
FAJKI – kły dzika w górnej szczęce, dolne nazywa się szablami
FOKSTERIER – rasa psów używanych do polowania na dziki
FARBA – krew dziko żyjących zwierząt
GACH – samiec zająca
GAMRAT – odyniec w okresie huczki
GEBA – pysk zwierzyny płowej - kozicy, muflona oraz zubra
GEĞAWA – największa z europejskich dzikich gęsi
GŁUSZEC – największy z europejskich kuraków leśnych, skrycie tokuje w Karkonoszach
GON – goniące zwierzynę, szczekające psy
GRUCHANIE – głos gołębi

GRZYWACZ – największy z polskich dzikich gołębi
GRZĘDA – stanowisko myśliwego na konarze drzewa
HUBERT św. – ok. 656-727, patron łowiectwa i myśliwych od XV wieku
HUCZKA – okres godowy dzików
JARZĄBEK – łowny ptak leśny z rodziny głuszcowatych, często nazywany leśną kuropatwą
JAŻWIEC – inaczej borsuk
KAPITALNY – rogacz lub jeleni o pięknych rogach
KIERDEL – stado muflonów lub kozic
KNIAZIANIE – głos trwogi wydawany przez zająca
KNIEJÓWKA – broń myśliwska o jednej lufie kulowej i jednej śrutowej
KOMORA – część ciała grubego zwierza, gdzie znajdują się płuca i serce
KOPYRA – zając w mowie myśliwskiej i gwarowej
KOT – ryś, żbik, zając
KWIAT – ogon borsuka i zwierzyny płowej
LICÓWKA – łania prowadząca stado jeleni
LOCHA – samica dzika
LUSTERKO – kolorowa plama na skrzydłach kaczek
MIOT – powierzchnia lasu, po której naganka pędzi zwierzynę
MUFLON – dziko żyjący w Sudetach gatunek owcy
MYŁKUS – zwierzyna płowa ze zniekształconym porożem
NEMROD – zapalony myśliwy (nazwa żartobliwa)
ODYNIEC – dzik żyjący samotnie, stary samiec
ORĘŻ – szable i fajki dzika
OSTATNI KĘS – kawałek iglastej gałązki włożony do pyska grubego zwierza
PAROSTKI – poroże sarny kozła
PERUKARZ – rogacz lub jeleni byk o porożu w kształcie narośli pokrytym scypulem
PONOWA – świeży śnieg, na którym zwierzyna odcisnęła swe tropy

PRZESMYK – wydeptana ścieżka, którą przechodzi zwierzyna
RAKIETA – kaczka cyranka w locie
RAPETY – nogi dzika
RYKOWISKO – ruja jeleni, okres godowy
SŁONKA – długodzioby ptak, podczas wiosennego lotu godowego chrapie lub gwizdże
STAWKI – nogi lisa i borsuka
SZABAS – przerwa w grze cietrzewi podczas toków w momencie wschodu słońca
SUKNIA – skóra okrywająca ciało sarny, jelenia i dzika
SZYDLARZ – kozioł lub jeleni byk z ostrymi zakończeniami tyk, poroże bez odnóg
TABUNY – stada dzikich gęsi
TOKOWISKO – miejsce, gdzie odbywają się toki głuszców, cietrzewi i batalionów
TYKA – jeden róg rogacza, jelenia
WARCZLAK – dzik do jednego roku życia
WATAHA – duże stado dzików
WINCHESTER – amerykańska gwintowana broń myśliwska
WIENIEC – poroże jelenia byka
WYCINEK – dzik od dwóch do trzech lat, samiec
WSTECZNIAK - stary rogacz, jeleni o starzejących się rogach
ZESTRZAŁ – ścinka sierści odcięta kulą w miejscu strzału
ZWIERZYNA PŁOWA – sarny, daniela, jelenie
ZWIERZYNA CZARNA – dziki
ZWIERZ KAPITAŁNY – odznaczający się kondycją i wagą ciała
ZWYSZKA – stanowisko myśliwego na stogu
ZŁOM – najwyższe odznaczenie łowieckie: obłamana świerczyna, zamaczana w farbie, wręczona myśliwemu po strzeleniu grubego zwierzka

EDMUND ADAMSKI

ur. 21 września 1941 r. w rodzinie o tradycjach myśliwskich. Jego dwóch starszych braci Tadeusz i Zbigniew są wieloletnimi członkami PZŁ. Jest bardzo zaangażowany w propagowanie karkonoskiej przyrody. W latach sześćdziesiątych był przewodniczącym Młodzieżowej Sekcji Wędkarskiej w Jeleniej Górze.

Do PZŁ wstąpił w 1974 r. - najpierw do Koła Łowieckiego „Darz Bór”, a od 1985 r. należy do K.Ł. „Knieja”. W nim pełnił następujące funkcje:

- Przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Koła,
- Członka Okręgowego Sądu Łowieckiego przy O.Z. PZŁ. w Jeleniej Górze,
- łowczego Koła od 2000 do 2005 r. Za swą pracę otrzymał następujące odznaczenia łowieckie: Brązowy i Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej, odznakę 85-lecia PZŁ i Medal Zasłużonego dla Łowiectwa Dolnośląskiego.

Z wykształcenia jest technikiem - ekonomistą. Od 1982 roku prowadzi sklep Myśliwski „Muflon” w Jeleniej Górze, w którym zaspokaja myśliwych w potrzebny asortyment i akcesoria łowieckie. Od lat wykorzystuje witryny sklepu do ekspozycji fotografii przyrodniczej Sudeckiej Krainy Łowieckiej.

Bogaty jest w nim zbiór trofeów myśliwskich, zawsze zdobiących jeleniogórski sklep oraz okazjonalne wystawy organizowane przez Zarząd Okręgowy PZŁ.

Edmund Adamski zbiory swe prezentował też w pomieszczeniach Kół Łowieckich w czasie okazjonalnych imprez i myśliwskich spotkań, gdzie zawsze wzbudzały podziw, ciekawość i zainteresowanie. Propaguje czasopisma polskie: miesięcznik „Łowiec Polski”, „Brać Łowiecką” i zagraniczne o tej tematyce oraz ciekawe kalendarze. Dbą o pełen asortyment książek o tematyce łowieckiej Wydawnictwa „Łowiec Polski”. Reklamuje sklep Myśliwski „Muflon” w książkach wydawanych przez Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze, takich jak: „Skarbiec św. Huberta”, „W królestwie Diany”, „Łowy z kamerą” itp. Wiele jego fotografii zdobi myśliwskie albumy, jak również tę książkę, którą poleca Braci Myśliwskiej.



Arski

ZBIGNIEW ADAMSKI ur. 21.04.1932 r.

w rodzinie o tradycjach myśliwskich. Jego dziadek i ojciec jeszcze przed wojną uczestniczyli w łowach nad Notecią i Gopłem. Jego brat Tadeusz poluje w Nadnotecznym Kole Łowieckim k/Inowrocławia. Brat Edmund należy do Koła Łowieckiego „Knieja” w Jeleniej Górze, a syn Darek do „Jarząbka” we Wrocławiu.

Z redakcją Łowca Polskiego współpracował od roku 1961 w dziedzinie fotografii przyrodniczo-łowieckiej. Od 1970 roku jest członkiem Komisji Etyki, Kultury i Promocji Łowiectwa Okręgowej Rady Łowieckiej w Jeleniej Górze.

Jego książki są ilustrowane interesującymi amatorskimi pracami, które znacznie wzbogacają ich treść. Jest autorem ilustracji fotograficznych do książek Wydawnictwa Świat, takich jak: „Polowania” 1993 r., „Metody polowań” 1993 r., „Ile ma lat” 1993 r., „Rekordowe trofea” 1994 r., „Łowiectwo” Tadeusza Paślawskiego 1995 r. oraz „Określenie wieku zwierzyny” 2003 r. Przygotował wiele wystaw fotograficznych, zdobywał czołowe miejsca w konkursach „Łowca Polskiego”, jest autorem Kroniki Koła „Darz Bór” w Jeleniej Górze i wielu książek o tematyce przyrodniczo-łowieckiej.

Za działalność na rzecz łowiectwa otrzymał Brązowy, Srebrny i Złoty Medal Zasługi Łowieckiej, Złom i Medal Św. Huberta. Za zasługi dla wędkarstwa polskiego - Złotą Odznakę PZW oraz Złotą Odznakę Fotografą Krajoznawcy PTTK, Posiada tytuł Zasłużonego dla miasta Jeleniej Góry, odznaczenia dziennikarskie i literackie. W 2004 roku z okazji 80-lecia PZŁ, został uhonorowany wpisem do Wielkiej Księgi Łowców Polskich, a w Kanadzie został przyjęty w poczet honorowych Członków Polskiego Klubu Myśliwskiego w Toronto.

Autor uczestniczył w wielu polowaniach zbiorowych i indywidualnych w Kole Łowieckim „Knieja”, a swoje spostrzeżenia z tych wypraw zawarł w książkach: „Ze strzelbą i wędką”, „Skarbiec św. Huberta” i „W królestwie Diany”.

Z okazji 85-lecia, PZŁ w wydanej książce pt: „Sudecka Kraina Łowiecka” czytamy, że duże zasługi w promocji łowiectwa ma kol. Zbigniew Adamski, dzięki publikacjom utworów literackich oraz fotografii o tematyce łowieckiej i przyrodniczej. Swoje fotografie z Karkonoszy ekspozował na wielu wystawach fotografii przyrodniczo-łowieckiej oraz w czasopiśmie „Łowiec Polski”, „Przyroda Polska” i in.



Ziemski

TEGOŻ AUTORA

- Rospudą do Puszczy Augustowskiej -1980r - Muzeum Karkonoskie
Moje spotkania z przyrodą-.....1984r- Muzeum Karkonoskie
Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórze -1997r- SK Wrocław
Ze strzelbą i wędką -1998r- Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze
Ontaryjskie safari –.....2000r- Spółka Komputerowa R. KA w Inowrocławiu
Nad rzeką św. Wawrzyńca –.....2002r - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Łowy z kamerą -2003r - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W królestwie Diany -.....2004r - Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Z wędrówek po puszczech -2004r- Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Tęczowe lasy Kanady -2005r- Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Skarbiec św. Huberta
w zachodniej Krainie Sudetów –2006r- Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Na tropach książek (katalog) -..... 2006r- Z.O..PZŁ w Jeleniej Górze
Stowarzyszenia myśliwskie w grodzie nad Bobrem-2007r- Z.O. PZŁ w Jel. Górze
Łowy z wędką –2008r- Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W ogrodzie Ducha Gór – Rzepióra –..... 2008r- AD REM w Jeleniej Górze
Nad Bobrem Odrą i Notecią –..... 2009r- TOTEM w Inowrocławiu
Skarbiec Sudeckiej Puszczy –.....2010r - AD REM w Jeleniej Górze
Kolo Łowieckie „Darz Bór” w Jeleniej Górze -.....2010r- ADREM w Jeleniej Górze



